

Sara PROKOPIAK \* (Poland)

## Podróż mimo woli

**Słowa kluczowe:** wspomnienia, ZSRR, II wojna światowa, Syberia, podróż

### Wstęp

„Pamięć to zabawna rzecz. Taka sprytna gierka, którą toczyliśmy sami ze sobą, by podtrzymać związek z tym kim byliśmy, co myśleliśmy, jak żyliśmy. Poprzerywana jak sen, powraca w okruchach i fragmentach. Jest odpowiedzią na zapomnienie”. Tak o pamięci pisała Krystyna Chiger „dziewczynka w zielonym sweterku”.

A oto co zostało w pamięci innej dziewczynki – Haliny Wojtkowskiej, która w wieku ośmiu lat wraz z matką i bratem została zesłana do syberyjskiego łagru. Na terenie ZSRR przebywała do 1942 roku, a stamtąd szlakiem Andersa dotarła do Teheranu a następnie przez Indie do Meksyku. Do ojczyzny, szczęśliwie powróciła w 1946 roku. Obecnie mieszka w Siedlcach w województwie mazowieckim.

Poniższe wspomnienia to dokument okrutnych czasów z jakimi przyszło się zmierzyć rodzinie Haliny Wojtkowskiej, na który składają się wspomnienia, bogata dokumentacja, którą skrzętnie przechowuje i pielęgnuje najbliższa rodzina.



Zdjęcie z prywatnych zbiorów Haliny Wojtkowskiej

---

\* Wspomnienia p. Haliny Wojtkowskiej spisała Sara Prokopiak uczennica Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 3 w Siedlcach, pod kierunkiem p. Joanny Mędzy; s\_prokopiak@wp.pl

Nazywam się Halina Witkowska z domu Wojtkowska. Urodziłam się 1 września 1931 roku i dorastałam w Drohiczynie Poleskim, malowniczym miasteczku na wschodzie Polski. Obecnie miejscowość ta znajduje się w granicach Białorusi.

Mój tata - Antoni Kazimierz Wojtkowski - był miejscowym lekarzem i pracował w szpitalu, prowadząc oddział chorób zakaźnych, wewnętrzny i położniczy. Mama - Jadwiga z domu Przybojewska - nie pracowała zawodowo. Zajmowała się mną oraz starszym o dwa lata bratem Julianem. Z wielką dbałością zabiegała o dom, w którym nigdy niczego nie brakowało. Udzielała się również charytatywnie w oddziale drohiczyńskiego Caritasu: organizowała pomoc dla samotnych kobiet pozbawionych środków do życia, organizowała akcje dokarmiania biednych dzieci w szkole. Zawsze starała się wspierać tych, dla których los nie okazał się tak łaskawy jak dla niej.

Mój ojciec podczas I wojny światowej był oficerem w wojsku Józefa Piłsudskiego, za co otrzymał 24-hektarową działkę na terenie Polesia, pod Drohiczynem. Fundusze z dzierżawy ziemi znacznie wpływały na naszą pomyślność finansową. Żyliśmy w spokoju i dostatku aż do wybuchu wojny.

W momencie wybuchu II wojny światowej wszystko zdawało się funkcjonować normalnie, każdy z nas zajmował się swoimi obowiązkami, ale w miarę upływu czasu stawało się to coraz trudniejsze. Sytuacja pogorszyła się zdecydowanie po agresji ZSRR na Polskę. W mieście zrobiło się niespokojnie. Radzieccy żołnierze kręcili się po ulicach.

Na początku lutego 1940 roku do taty przyszła jedna z pielęgniarek, z którą pracował w miejscowym szpitalu. Doradziła mu, by wyjechał z miasta, bo ponoć jego nazwisko jest na jakiejś liście znajdującej się w starostwie, jednak dokładnie nie wiedziała, o co chodzi. Tata, po rozmowie z mamą, zdecydował się wziąć urlop i pojechać do Łap, gdzie mieszkała jego mama, czyli moja babcia. Pamiętam, że był to wyjątkowo chłodny dzień. Całą rodziną odprowadziliśmy tatę na pociąg, który miał odjechać po godzinie 18. Przytuliłam go bardzo mocno. Sądziłam, że tata po prostu wyjeżdża do babci i wkrótce wróci. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego nie pojechalśmy razem z nim. Rodzice nie mówili mi wszystkiego, miałam wtedy zaledwie 8 lat.

Po powrocie mama ułożyła nas spać, a sama krzątała się jeszcze po domu. Była cicha i tylko niektóre jej gesty wskazywały, że czuje niepokój pod nieobecność ojca. O północy obudziło nas pukanie, a raczej walenie do drzwi. Mama podeszła, otworzyła je. Stał w nich człowiek z NKWD, kilku radzieckich żołnierzy i policjant pochodzący z pobliskiej miejscowości. Jeden z nich powiedział, że mamy się pakować, bo muszą nas przewieźć w inne miejsce. Mama nie wiedziała, co się dzieje. Była w szoku, zresztą my też. Przecież normalnie nikt do nikogo nie przychodzi w środku nocy i nie informuje go o przeprowadzce. Dziś już wiem, że nie byliśmy jedyną rodziną, którą zbudzono w środku nocy. To element taktyki radzieckiej, polegającej na zaskoczeniu i zastraszeniu.

Krzyczano na nas i kazano szybko się spakować. Mama była przerażona, nie wiedziała co wziąć ze sobą, nie wiedziała, czego się spodziewać. Pamiętam, że na podłodze leżały utkane na krosnach kilimy. Żołnierze otwierali szafy i wyrzucali całą ich zawartość na podłogę, wiązali w tobołki i stawiali przy wyjściu. Mama, widząc co się dzieje, strasznie się zdenerwowała. Wzięła szablę ojca, pamiątkę, która została mu po służbie w wojsku, podbiegła do oficera NKWD i wykrzyczała: „Waszego Stalina diabli wezmą, a ja i tak tutaj wrócę!”. Miny tego Rosjanina nie zapomnę do końca życia. Był obłędnie wściekły. Wrzeszczał i poganiał nas. Mama założyła płaszcz, na pantofle naciągnęła śniegowce i wtedy jeden z żołnierzy wziął ją za kołnierz i wyrzucił z domu. Taka właśnie była moja mama, żywiolowa i odważna.

Nie było mowy, byśmy mogli ich jeszcze o cokolwiek prosić. Mama nie mogła już nic spakować, mogliśmy wziąć ze sobą tylko to, co oni wyrzucili na podłogę, ale pamiętam, że było tego bardzo dużo. A może tylko tak mi się wydawało, byłam wtedy przecież dzieckiem.

Wspominając tamto zajście, mam przed oczami pewnego żołnierza, który podczas tej „wizyty” w naszym domu nie odezwał się ani słowem. Jedynie obserwował rozwój sytuacji. W pewnym momencie podszedł do stojącej przy oknie toaletki i wziął z niej dwie książeczki do nabożeństwa należące do moich rodziców. Bez słowa wyjaśnienia ukrył je w kieszeniach swojego munduru.

W drugiej połowie naszego domu, mieszkała żona i syn miejscowego popa. To oni pomogli mi i mojemu bratu ubierać się. Nie pozwolono nam wziąć nic do jedzenia. Żonie popa udało się przemycić do sań jedynie dwa pięciolitrowe słoje konfitur z wiśni.

Nad ranem wyruszyliśmy do punktu zbornego znajdującego się przy klubie miejskim. Było tam już wielu Polaków. Byli wśród nich nauczyciele, lekarze, wójtowie, osoby wykształcone znaczące w naszym środowisku. Byli z całymi rodzinami. Woźnica sań, którymi nas przywieziono, widząc że nie mamy nic do jedzenia, przyniósł nam ogromny bochenek chleba. Mama musiała znać tego człowieka, bo gdy przywiózł nas, długo jeszcze ze sobą rozmawiali. Nie wiem o czym i prawdę mówiąc zapewne niewiele mnie to interesowało, przecież miałam wtedy zaledwie osiem lat. Ja i inne dzieci, nieświadome dramatyczności sytuacji, bawiliśmy się na placu przed klubem. Dobrze znałam to miejsce, więc byłam spokojna.

Nie miałam pojęcia, że to co za chwilę miało się wydarzyć w moim życiu spowoduje, że już nigdy nie zobaczę tego świata, w którym wszystko było takie oczywiste, bezpieczne, pogodne i radosne. Nie podejrzewałam, że już nigdy nie zobaczę miejsca ani ludzi, wśród których dorastałam.

Między godziną trzynastą a czternastą ponownie wsiedliśmy do sań, którymi zostaliśmy przewiezieni na dworzec. Nie był to jednak ten sam dworzec, na który kilkanaście godzin temu odprowadzaliśmy tatę i się z nim żegnaliśmy. Był to dworzec

towarowy. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że dzieje się coś złego i dotyczy to mnie i moich najbliższych.

Zanim ruszyliśmy w kierunku „krematorium śniegu”, jeden z żołnierzy, który tej pamiętnej nocy był w naszym domu podszedł do mamy i podał jej dwie małe książeczki do nabożeństwa, te same, które wziął z naszego domu i powiedział: „Niech pani to weźmie. Na pewno się przyda.” Mama popatrzyła na niego z bólem w oczach. Wzięła i podziękowała, bo były to jedyne pamiątki z naszego domu.

Na rampie stał długi ciąg towarowych wagonów. Małe, ciemne, brudne wagony z drewnianymi pryzcami, którymi mieliśmy jechać nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jak długo. Na środku każdego z nich znajdował się żeliwny piec, a w rogu dziura w podłodze, która miała nam służyć za toaletę.

Nagle rozległ się przerażający krzyk jednego z żołnierzy: „Wsiadać!”- zawołał. Wrzuciliśmy swoje „bagaze” na pryzcę. To było miejsce dla naszej rodziny. Mogliśmy powiedzieć o małym przebłysku szczęścia, bo trafiliśmy na miejsce przy małym okienku, przez które podczas podróży patrzyliśmy na zmieniające się krajobrazy. W ten sposób nie traciliśmy kontaktu ze światem zewnętrznym. Teraz z każdą minutą słychać było coraz wyraźniej głosy konwojentów pakujących i odliczających ludzi, a później trzask zasuwanego się drzwi w towarowych wagonach, które ciągnęły się w nieskończoność.

Te wszystkie „niespodzianki” przyniosła nam sobota 10 lutego 1940 roku. Podobnie jak tysiące innych Polaków, nie wiedzieliśmy co się z nami stanie.

Kiedy pociąg ruszył, ludzie, stłoczeni jeden obok drugiego, wydawali z siebie żalosne odgłosy lęku. Matki tuliły swe dzieci w ramionach i tylko cicho szeptały, że wszystko będzie dobrze, starając się w ten sposób uspokoić nie tylko dzieci, ale również siebie.

Przez małe okienko obserwowałam zapierające w piersiach widoki rosyjskiej tajgi. Do dziś mam je przed oczami i uważam je za najpiękniejsze na ziemi. Codziennie oficer NKWD wstawiał do wagonu wiadro wrzątku, z którego można było zrobić sobie herbatę albo wykorzystać w jakiś inny sposób. Nie potrafię powiedzieć, ile osób mogło być w jednym wagonie, pamiętam tylko, że było bardzo ciasno.

Przeżyliśmy tylko i wyłącznie dzięki dobrym ludziom, którzy znaleźli się z nami w wagonie. Doskonale wiedzieli, że nie mamy do jedzenia nic oprócz chleba i 2 słoików konfitur. Dlatego dzielili się z nami tym, co mieli, nie chcąc nic w zamian. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, wzrusza mnie ta bezinteresowność i szlachetność, będąca po prostu ludzkim odruchem. Jak się okazało, innym ludziom pozwalano zabierać żywność, tylko nam nie. Być może z zemsty za to, co powiedziała mama. Podczas podróży na jedną noc zatrzymaliśmy się w Moskwie. Oczywiście spędziliśmy ją w wagonie. Im dłużej jechaliśmy, tym było zimniej. Niemal każdego dnia padał śnieg. Mimo to pociąg sunął po szynach bez

większych problemów. Było to możliwe dzięki pługowi zamocowanemu na czole lokomotywy.

Po dwóch tygodniach podróży w nieludzkich warunkach dojechaliśmy na miejsce. To był już inny świat. Zabraliśmy swoje rzeczy i wyczerpani wyszliśmy na zewnątrz. Pamiętam te setki ludzi wychodzących z poszczególnych wagonów. Do przejścia mieliśmy niewielką odległość. Brodziliśmy po głębokim śniegu. Nasz posesiołek nazywał się Nuchtooziero i był położony w okręgu Archangielskim.

Odtąd naszym domem miały być baraki z drewnianych bali „ocieplone” mchem. Wizja mieszkania tam nie napawała nas optymizmem. Z nieznanych mi powodów moja rodzina otrzymała oddzielne pomieszczenie. Było to niezwykle szczęściem, bo nie musieliśmy mieszkać razem z innymi, obcymi ludźmi w barakach, gdzie wszyscy spali na drewnianych pryzkach, a całość stanowiła jedno pomieszczenie. W izbie, którą nam przydzielono, zamieszkało dwanaście osób: ja, moja mama Jadwiga, mój brat Julian, brat mamy Józef Przybojewski, jego żona Julia, dwie ich córki – Halina i Danuta, wujek mojej mamy Józef Domański z żoną Jadwigą i trójką ich dzieci: Zbyszkciem, Tadeuszem i Janiną.

Gdy dziś zastanawiam się nad powodem przydzielenia nam tego pomieszczenia, przychodzi mi do głowy myśl, że być może stało się tak ze względu na wujka mamy - Józefa Domańskiego, który w chwili przybycia do Nuchtooziera był sparaliżowany. Co ciekawe, pobyt tam go uleczył. Wujek najprawdopodobniej miał reumatyzm i niskie temperatury panujące w Syberii pomogły mu dojść do zdrowia.

Warunki mieszkalne były bardzo trudne. W baraku było ciasno, zimno, panowała wilgoć, ale największym problemem dla nas była plaga pluskw. Wychodziły z każdej najmniejszej szpary. Wręcz kapwały z sufitu. Próbowaliśmy pozbyć się ich na różne sposoby. Niektóre mogą się wydawać śmieszne, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Na przykład, zalewaliśmy popiół wodą i taką masę rozkładaliśmy na pryzkach, podłodze, ścianach. Podobnie wykorzystywaliśmy naftę. Na niewiele się to jednak zdało. Musieliśmy szybko przywyknąć do tych warunków, a walka z pluskwami i wszami stała się naszą codziennością.

Każdego dnia o godzinie 6 rano budził nas gong. Szykowany był kipiatak, czyli wrzątek i każdy, kto chciał, mógł się napić, wziąć ze sobą do lasu. Tam mężczyźni zajmowali się wycinką drzew, natomiast kobiety korowały je i cięły na kawałki. Często bywało tak, że w środku nocy przyjeżdżał pociąg po ścięte drzewo. Wtedy wszystkich budzono do załadunku. Następnego dnia, niezależnie od godziny, w której skończyli nocną pracę, rano musieli wracać do codziennych obowiązków.

Każdy pracownik miał do wypracowania określoną normę. Jeśli tego nie zrobił, był surowo karany i nie otrzymywał zapłaty, albo musiał sam płacić karę. Największą jednak karą było pozbawienie przydziału jedzenia.

Wśród zesłańców byli oczywiście i tacy, którzy próbowali uciec w trakcie załadunku. Pamiętam, jak kiedyś mama opowiadała, że zrobiono klatkę, do której schował się jeden z więźniów. Klatkę załadowano na pociąg i w ten sposób udało mu się zbiec z obozu. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy udało mu się przeżyć. Zimową porą było to raczej niemożliwe lub graniczyło z cudem.

Nigdy nie doświadczyłam tej ciężkiej, często ponad ludzkie siły pracy, jaką wykonywała moja mama. Szczególnie ciężko było zimą. Mróz odznaczał się nie tylko wielką siłą, ale i zdradliwością, która była bardzo niebezpieczna dla wyczerpanego i niedożywionego organizmu zesłańca. Wielu pozostało w tym lesie na zawsze.

Ja nie musiałam pracować, byłam jeszcze za małą. Ale miałam za to wiele innych obowiązków. Zajmowałam się moimi młodszymi kuzynkami Haliną i Danutą Przybojewskimi. Prowadziłam też dom, prałam, sprzątałam, gotowałam. Wszyscy dorośli po powrocie do domu byli zbyt zmęczeni by wykonywać którąkolwiek z tych czynności. Latem brałam tarę i chodziłam prac nad jezioro. Zimą, kiedy wszystko było skute lodem, roztapiałam śnieg i prałam w domu.

W naszym posiołku była szkoła, do której uczęszczały polskie dzieci, ja również. Cały cykl nauczania odbywała się w języku rosyjskim. Zajęcia prowadziły Rosjanki. Były to żony naszych strażników.

Życiu w obozie towarzyszył ciągły strach. Martwiliśmy się o zdrowie, jedzenie, bezpieczeństwo. Nigdy niczego nie byliśmy pewni, nie wiedzieliśmy, co za chwilę może się z nami stać. Z czasem dowiedzieliśmy się, dlaczego tu jesteśmy, ale nie wiedzieliśmy, czy to już jest koniec naszej wędrówki ani tego, co z nami będzie.

Obozowe władze bardzo często, bez jakiś szczególnych powodów, dręczyły spracowanych, schorowanych i udręczonych ludzi. Wzywano ich do siebie na nocne, wielogodzinne przesłuchania. Tak między innymi traktowano moją mamę. Często wracała do „domu” zmęczona po pracy, a już po chwili w drzwiach stawał strażnik obozowy z wezwaniem na komendę NKWD. Przesłuchania trwały bardzo długo. Dla mnie i mojego brata były to nie kończące się godziny. Pamiętam, że pewnego razu kiedy znów przyszedł po nią, mama bardzo się zdenerwowała się i zapytała NKWD-dzisty : „Czego ty ode mnie chcesz?!”. A on jej odparł na to : „Chce popatrzeć w Twoje piękne oczy”. Istotnie moja mama miała zjawiskowe, pełne blasku oczy. Wtedy po raz kolejny wykazała się szaleńczą odwagą i wykrzychała: „Żebyś mnie miał zastrzelić, więcej nie pójdę!”. I tak jak powiedziała, tak zrobiła, więcej nie poszła. Nie spotkały jej za to żadne konsekwencje, o których bym wiedziała.

Jednym z najjaskrawszych wspomnień z tego okresu jest obozowy sklepik, gdzie początkowo można było kupić chleb, słoninę, naftę. Na początku ludzie mieli jeszcze pieniądze przywiezione z Polski, później już tylko te marne zarobione za pracę w lesie. W miarę upływu czasu sytuacja stawała się coraz gorsza, jedzenia było coraz mniej i zaczęła

panować głód. Sytuacja szczególnie pogorszyła się, gdy wojska niemieckie rozpoczęły atak na ZSRR. Wtedy, we wcześniej wspomnianym sklepiku, można było już kupić jedynie wodę kwiatową i spirytus. Porcja chleba na osobę pracującą wynosiła wtedy 400g, a na nie pracującą 200g.

Naszą rodzinę uratowała babcia, mama taty. Babcia mieszkała na Polesiu i była akuszerką. Zapłatę za pomoc ludziom przyjmowała nie w pieniądzu, a w naturze – jajka, mąka, słonina. I te produkty przesyłała nam w paczkach. Dzięki temu mieliśmy co jeść. Czasami nawet mogliśmy pozwolić sobie na ich sprzedaż. Zdarzało się to oczywiście bardzo rzadko, bo przecież byliśmy liczną rodziną.

Pamiętam, że razem z cicią chodziliśmy do różnych kobiet mieszkających na terenie obozu. Były wśród nich nauczycielki i żony oficerów i sprzedawałyśmy im sukienki mojej mamy. Zanim tu trafiliśmy, mama była elegancką kobietą. Starannie dbała o swój wygląd i miała piękne sukienki, które do nowej rzeczywistości kompletnie nie pasowały i były bezużyteczne. A o ironio, miała ich bardzo dużo, bo tej nocy, jeszcze w Polsce, kiedy NKWD przyszło po nas i mama nie wiedziała, co ma ze sobą zabrać, jeden z żołnierzy wyrzucił na podłogę prawie całą zawartość naszej szafy i kazał zabierać ze sobą. Kiedy trafiliśmy do obozu, w chwilach zwątpienia często zadawała sobie pytanie, i po co mi one, ale już wkrótce okazało się, że to dzięki nim możemy przetrwać kolejny dzień.

Syberyjska zima była przepiękna. Chociaż temperatury były bardzo niskie, dochodziły do -50oC, to nie było żadnego, choćby najmniejszego podmuchu wiatru. Śniegu było tyle, że od jednego do drugiego baraku kopano tunele, żeby można było przejść.

Również wiosną nie można było odmówić swoistego uroku. Wszystko wracało do życia, a las oprócz pracy dostarczał też upragnionego jedzenia. Pamiętam niezwykle słodki smak leśnego owocu nazywanego morożką. Był malutki, czerwony i przepyszny.

Gdy tylko mrozy zelzały mama z wujkiem skopali kawałek ziemi, zrobili zagonek i posadzili przysłane od babci ziemniaki i inne warzywa. Wujek Józef i mój brat Julek często też chodzili na ryby, dzięki czemu mogliśmy jeść nieco bardziej urozmaicone posiłki, a gdy złowili ich więcej, mogli czasami je sprzedać i zarobić.

Byłam dziewczynką z dobrego domu, nigdy wcześniej praktycznie nie pracowałam. Kiedy tu przyjechaliśmy, z dnia na dzień skończyło się moje beztrudne dzieciństwo. Szybko zrozumiałam, że dotychczasowy styl życia zmienił się i albo dostosuję się do nowych warunków, albo zginę wśród mrozu i niekończących się lasów. Miałam też świadomość, że muszę pomagać udręczonej bólem, tęsknotą i ciężarem dnia codziennego mamie.

Nadzieją stała się dla nas wiadomość o podpisaniu układu Sikorski - Majski, który zapowiadał amnestię dla polskich więźniów rosyjskich łagrów. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy wolni. Wydostanie się z obozu nie było jednak sprawą łatwą, ale chęć wyjazdu

z tego zniewolonego miejsca i nadzieja na poprawę bytu były ogromne, więc kiedy mama dowiedziała się, że jest organizowany transport do Uzbekistanu, dołożyła wszelkich starań i po 20-miesięcznym pobycie opuściliśmy miejsce, w którym spotkało nas tyle zła. Była jesień, kiedy opuszczaliśmy obóz. Cieszyliśmy się, że nie spędzimy tu kolejnej zimy. Oprócz mnie, Juliana i mamy, był też wujek Józef z rodziną.

Kiedy nasz pociąg ruszył, w milczeniu patrzyliśmy na oddalający się obóz, na lasy, w których ludzie niewolniczo pracowali, a przede wszystkim na potężny cmentarz, który przez dwadzieścia miesięcy urósł do wielkości 1500 mogił. Ludzie opuszczali to przeklęte miejsce z nadzieją, że w ich życiu rozpocznie się ich nowy, lepszy rozdział, ale też z ogromnym bólem serca, że zostawiają tu na tej nieludzkiej ziemi swoich najbliższych, na których grobach, nikt już nigdy nie zapalić świecy.

Podróż do Uzbekistanu odbywaliśmy w wagonach towarowych. Nie należała ona do łatwych. Rodzina podzieliła się na dwie grupy, ja z mamą i bratem zajęliśmy miejsce na górze, na przycy, a wujek z rodziną na dole. W wagonach było ciemno i tylko przez maleńkie okienko i szczeliny pomiędzy deskami wagonu widzieliśmy blask słońca.

W każdym z wagonów kryły się ludzkie dramaty. Ludzie byli coraz słabsi, wycieńczeni panującym w obozie głodem, który szczególnie doskwierał nam w ostatnich miesiącach pobytu. Wiele osób zmarło w czasie podróży. Śmierć dotykała teraz szczególnie dzieci. Ciągle słyszało się o czyjejś śmierci. Za każdym razem, gdy pociąg zatrzymywał się, z wagonów wnoszono trupy i układano je wzdłuż torów. Nie było nawet czasu ani sposobności, by je pochować. Widok był przerażający i bardzo głęboko pozostał w mej dziecięcej świadomości.

Podczas podróży wydarzyła się moja osobista tragedia. W trakcie jednego z postojów powiedziano nam, że pociąg będzie stał w miejscu przez trzy doby. Wtedy około 40 osób, w tym moja mama i wujek Józef postanowili pójść do najbliższego miasta, aby kupić trochę żywności. Upłynęło około 2 godzin od ich odejścia, gdy nagle pociąg ruszył. Ja i mój brat zostaliśmy sami. Nie jestem w stanie opisać tej straszliwej rozpacz i bólu, który rozrywał moje ciało. Straciłam matkę, najbliższą, najukochańszą osobę. Jedyną, której tak bardzo ufałam, przy której czułam się bezpieczna, przy której ta straszna rzeczywistość, w której się znalazłam nie jawiła się aż tak czarno. Teraz wydawało mi się, że zostałam sama na tym wielkim, ponurym i groźnym świecie.

Na stacji w Czelabińsku otrzymaliśmy obiad. Ja nawet nie wyszłam z wagonu. Cały czas myślałam tylko o tym, gdzie jest mama i czy ją jeszcze kiedyś zobaczę. Julek, mój brat, i ciocia tego dnia przynieśli mi jedzenie, bo wiedzieli, jak bardzo przeżywam rozstanie z matką, ale później już tak nie było, tam każdy musiał troszczyć się o siebie, chcesz żyć to „walcz”.

Z perspektywy czasu widzę, że i ciocia Julii nie było łatwo – została sama, a pod opieką miała czwórkę dzieci, z czego najstarsze miało około 13 lat, a najmłodsze około 3.



Podróżowaliśmy praktycznie bez jedzenia, tylko od czasu do czasu pociąg zatrzymywał się i wtedy dawano nam chleb i wodę. Na szczęście moja kuzynka Halina była bardzo pomysłowa i odważna. Nasz pociąg mijały pociągi z żołnierzami rosyjskimi jadącymi na front i zawsze, gdy się zatrzymywaliśmy, Halinka chodziła do nich i żebrała o coś do jedzenia. Tam kucharzom czasami zostawało jedzenie z obiadu, więc dawali jej. Czasami zdarzało się, że dostała od nich czekoladę, konserwy rybne, mięsne i inne tego typu produkty.

Niestety, nieodłącznym towarzyszem naszej podróży ciągle była śmierć. W pamięci utkwił mi jeden obraz. W wagonie naprzeciwko mnie siedziała kobieta z synem. Gdy umierali, wszy gęsiego uciekały od nich w moją stronę. Początkowo próbowałam zabijać jej paznokciem, ale było ich tak dużo, że musiałam robić to obcasem bucika. Gdy pociąg się zatrzymał, trupa tej kobiety i jej syna wyniesiono z wagonu i położono przy torach. Gdy pociąg ruszył, przez małe okienko patrzyłam, jak ich nieruchome ciała oddalają się.

Bliskość śmierci i strata matki doprowadziły mnie do załamania. Takiego stanu nigdy do tamtej pory nie doświadczyłam. Moje zachowanie stawało się z dnia na dzień takie odmienne, byłam coraz słabsza. Nie jadłam, nie piłam, a w trakcie postoju nie wychodziłam z wagonu. Tęskniłam za matką, wydawało mi się, że nie potrafię bez niej żyć. Miałam jednak świadomość, że siedząca nieopodal kobieta stale mnie obserwuje. Nie wiem kim ona była, ale być może to jej zawdzięczam, że nie zostałam przy torach, jak ci, którym zabrakło szczęścia. Kobieta widziała, w jakim jestem stanie, jak moje ciało słabnie, porozmawiała z ciocią i wtedy ta wzięła mnie do siebie, na dół i już do końca podróży czuwała nade mną. Bardzo powoli wracałam do żywych. Gdy poczułam się już trochę lepiej, w czasie postojów zaczęłam wychodzić z wagonu. W końcu byłam małą dziewczynką, która potrzebowała zabawy i ruchu. Pewnego dnia, gdy pociąg stanął na jednej ze stacji opuściłam wagon i oddaliłam się od niego o kilkanaście metrów. Drogę do niego przecinał mi pociąg, którym jechali rosyjscy żołnierze. Nagle wojskowy pociąg ruszył. Byłam przerażona, myślałam, że mój pociąg również odjeżdża. Bez zastanowienia rzuciłam się pod koła rozpędzającego się wojskowego pociągu, by jak najprędzej znaleźć się wśród swoich bliskich. Wpadłam w taką panikę, że nie myślałam logicznie. Strasznie krzyczałam i biegłam na oślep. To, że przemknęłam pod kołami pociągu bez żadnej krzywdy, było istnym cudem i do dziś nie mam pojęcia, jak to się stało.

Kiedy pociąg zatrzymywał się, na każdej stacji pytaliśmy przebywających tam ludzi, czy może ktoś widział mamę albo wujka. Głęboko wierzyliśmy, że może jednak jeszcze się spotkamy. Któregoś dnia mój brat, Julian, usłyszał od znajomych, że gdzieś niedaleko widziano naszą mamę. Pamiętam jak przyszedł do mnie i powiedział: „Halinka! Słyszałem, że gdzieś tu niedaleko widziano naszą mamę! Pójdę jej poszukać.” Przytaknęłam mu tylko bez chwili zastanowienia. Tak bardzo się wtedy ucieszyłam, marzyłam o tym, by móc przytulić się do mamy. Nawet nie pomyślałam, czym mogła ta wyprawa grozić. Nie wiem dlaczego go nie zatrzymałam, przecież i jego mogłam stracić. Ale może chęć odnalezienia mamy była silniejsza niż strach o Julka? Dziś nie potrafię odpowiedzieć na to

pytanie. Julian wrócił po trzech dniach. Nie udało mu się odnaleźć mamy. Za to miał ze sobą coś innego, dwa czterokilogramowe bochenki chleba i kilogram lub dwa dużej, słodkiej cebuli cukrowej. Te zapasy były dla nas na wagę złota.

Po kilku tygodniach męczącej podróży dotarliśmy do Taszkientu, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka dni, po czym przetransportowano nas do Buchary.

Pociąg zatrzymał się na niedużej stacji. Kazano nam wysiąść z wagonów. Wszystkich rozdzielono na dwie grupy, po czym każdego przydzielono do odpowiedniego kolchozu. Wsiadliśmy na dwukołowe wózki ciągnięte przez zwierzę, popularnie nazywane tu „arabem”. Dojechaliśmy do dość dużego kolchozu, gdzie razem z ciocią, bratem i kuzynkami, umieszczono nas w małej lepiance, w której nie było podłogi i panował półmrok.

Na początku wiodło nam się całkiem dobrze, nie brakowało nam pieczywa, warzyw, owoców. Ciocia i brat pracowali przy wykopie rowów melioracyjnych, natomiast ja opiekowałam się młodszymi kuzynkami. Tak jak na Syberii, do moich obowiązków należało pranie, sprzątanie, gotowanie. Później pomagałam dodatkowo żonie kierownika kolchozu przy półtorarocznej córeczce. Za tę pracę dostawałam mleko, albo lepieszki. Były to słodkie placuszki pieczone, a właściwie suszone na okapie pieca kuchennego.

Uzbecy byli przyjaźnie nastawieni do nas, Polaków. Chętnie z nami handlowali, wymieniali towary. Na przykład, gdy w okresie letnim pomagałam przy wypasie owiec, mogliśmy kupić od nich tzw. „nie zameldowane” jagnię. Dzięki czemu mieliśmy zapas mięsa na jakiś czas. Razem z Haliną i Danusią, chodziłam na pobliskie łąki. Zbierałyśmy tam dziko rosnąca lebiodę, która była podstawą naszej diety. Czasami udało się ukraść trochę zboża koniom, wtedy mieszałyśmy je z lebiodą i formowaliśmy coś na kształt kotletów. Latem do naszych obowiązków należało też zbieranie dżugary i bawełny uprawianych w obozie. Zimą część bawełny składowano w jednym z pomieszczeń naszego domu i musiałam zajmować się jej obróbką. Pamiętam, że było to bardzo bolesne, bo jej torebki z nasionami miały ostre kolce, które kaleczyły moje ręce. Na szczęście rany dość szybko się goiły.

W ten sposób spędziliśmy kilka miesięcy. Nie potrafię dokładnie powiedzieć ile. Powoli oswajałam się z myślą o braku mamy i starałam się cieszyć tym, co mam. Jednak któregoś dnia moje cierpienie odżyło na nowo i teraz radość na przemian mieszała się ze smutkiem. Odnalazł się mój wujek Józef, który zaginął wraz z moją mamą. Kiedy go zobaczyłam, pierwszą myślą, która zakołatała się w mojej głowie było pytanie „gdzie moja mama?”.

Okazało się, że wujek i mama, by mieć większe szanse odnalezienia nas, rozdzielili się, a później nie pytał już tylko o nas, ale także o swoją siostrę Jadwigę. W Taszkencie spotkał człowieka, który powiedział mu, że widział na jakiejś stacji leżącą pod płótem krwawiącą kobietę. Tą kobietą miała być moja mama. Mówił również, że zabrano ją do

szpitala. Jego zdaniem była jednak w tak ciężkim stanie, że raczej już nie żyje. Na wieść o tym moje serce zamarło. Stałam jak wryta, nie mogłam i nie chciałam przyjąć tej tragicznej informacji, do której przecież każdego dnia przyzwyczajałam się. Poczułam się tak, jak gdyby ktoś delikatnie wzniecił we mnie płomyk nadziei, a potem brutalnie zgasił go. Dwa tygodnie leżałam w łóżku i nie mogłam dojść do siebie, myśląc o tym, jak bardzo jestem samotna i niepotrzebna. Nie chciałam żyć, skoro na świecie nie było już najukochańszej dla mnie osoby. Na szczęście i wtedy mogłam liczyć na wsparcie rodziny. Powoli zaczęłam wracać do normalnego trybu życia i nawet nie spodziewałam się, że karta mojego losu tak szybko może się znów odwrócić.

Pamiętam, że był to ciepły, słoneczny dzień. Wuj Józef powoli wracał do zdrowia po przebytych tyfusie. Zbliżały się święta Wielkanocne. Razem z ciocią robiliśmy porządki. Za domem wietrzyła się pościel. Wujenka wysłała mnie, bym przyniosła poduszkę. Stałam tam przekładając pierzyny i koce w poszukiwaniu mojego jaśka. Wracając do lepianki, stanęłam w progu nie mogąc uwierzyć w to, co widzę. Mama, moja kochana mamusia, przytuliła do siebie Julka i witała się z resztą rodziny. Nie wiedziałam, czy to sen, czy jawa. Obserwowałam całą sytuację z zaptartym tchem. Trwało to kilka minut. Mama zaczęła coś opowiadać, kiedy nagle krzyknęła: „a co z Halinką?!”. Wszyscy skierowali swój wzrok na mnie, małą, ciemnowłosą dziewczynkę z poduszką w ręku. Mama podbiegła do mnie i uściskała mnie z całej siły. Dopiero teraz dotarło do mnie, że to nie sen, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ktoś wziął ode mnie poduszkę, i dopiero teraz mogłam odwzajemnić uściski, wtulić się w ukochane, wytęsknione, wymodlone ramiona. Usiadłyśmy na progu i długo rozmawiałyśmy. Opowiadała, jak nas szukała jeżdżąc od jednego do drugiego kołchozu. Przez pewien czas przebywała w Bucharze i właśnie tam którejś niedzieli wybrała się do kaplicy mieszczącej się przy delegaturze. Stała za filarem i cicho płakała. Widząc to, pewien mężczyzna podszedł do niej po nabożeństwie i zapytał, co się stało. Mama opowiedziała mu o tym, jak straciła najpierw dzieci a potem brata. Wtedy mężczyzna odparł: „A ja pani powiem, gdzie ich pani znajdzie”. Już samo to, co powiedział było niesamowitym szczęściem, ale jeszcze bardziej zaskoczył mamę, kiedy dokładnie określił położenie naszego obozu. Mama bez trudu odnalazła kołchoz, w którym mieszkaliśmy. Analizując tę historię i jej szczęśliwe zakończenie mam powody by myśleć, że od początku czuwał nad nami ktoś Wyższy.

Relacje z miejscową ludnością pogorszyły się gdy Rosjanie zintensyfikowali działania wojenne. Wiele artykułów stało się praktycznie niedostępnych, a Uzbeki nie byli już tak przyjaźnie nastawieni do nas. Zaczęli liczyć każde ziarenko zboża, bo mogło ono zdecydować o ich przetrwaniu. Któregoś dnia przed naszym domem stanęła grupa miejscowych rolników uzbrojona w cepy i widły, zachowywali się agresywnie. Wtedy wuj zdenerwował się nie na żarty, wziął siekierę leżącą przed domem i wykrzyknął, że jeśli podniosą rękę na jego rodzinę, to wszystkich ich pozabija. Miał dużo szczęścia, bo tamci tylko po sobie popatrzyli i odeszli. Odwaga, porywczość, a czasami nawet szaleństwo, to cechy typowe dla mojej rodziny.

Naszą codziennością w Uzbekistanie, oprócz głodu i strachu, była wszawica. Ktoregoś dnia zmarł mieszkający obok nas niezwykle kulturalny człowiek. Był Żydem, przed wojną był właścicielem dobrze prosperującej, znanej w całej wschodniej Polsce plantacji ogórków w Brześciu. Żyliśmy z nim w dobrych, sąsiedzkich stosunkach. Niestety miał straszną wszawicę. Kiedy zmarł, odziedziczyliśmy po nim piękny kozuch. I wtedy odkryłam pewne zjawisko, którego byłam ponownym świadkiem. Wszy uciekają od zmarłych Nie zapomnę widoku wędrującego robactwa. Na ziemi aż się roiło. Mama i ciocia postanowiły wyprać palto i sprzedać je. W tym celu poszły do miasta. Tam z kolei jakiś złodziejasek, korzystając z ich nieuwagi, ukraść kozuch. Jednak to im tego dnia sprzyjało szczęście. Odnalazły skradziony towar w nienaruszonym stanie i dość szybko sprzedały. Środki pozyskane ze sprzedaż stanowiły niewielkie zabezpieczenie finansowe dla naszej rodziny. Jednak życie zaskakiwało nas co raz czymś nowym i poddawało kolejnym próbom. Szczęście i radość mieszały się z bólem i cierpieniem. Odnalazła się mama, wyzdrowiał wujek, a teraz to ja i moja kuzynka Halinka zachorowałyśmy na tyfus i walczyłyśmy o życie.

W warunkach, które tu panowały, nietrudno było o tę, czy inną chorobę. Zresztą było to też konsekwencją wcześniejszego wycieńczenia organizmu, które pogłębiało się w dramatycznych warunkach długotrwałej podróży i oczywiście panujących tu warunków sanitarnych. Obie z Halinką ciężko znosiłyśmy chorobę i rodzice podjęli decyzję o przewiezieniu nas do szpitala. Miałyśmy dużo szczęścia, że tam trafiłyśmy, gdyż chorych było tak dużo, że szpital nie był w stanie wszystkich pomieścić. Tam spędziłyśmy dwa tygodnie, z czego większość w stanie niemal nieprzytomności z powodu wysokiej gorączki, która towarzyszyła chorobie. Warunki panujące w szpitalu nie sprzyjały powrotowi do zdrowia. Brak jedzenia był już tak poważnym problemem, że nawet tu, w szpitalu, jedzenie, które mama czy ciocia przynosiły, kiedy my nie byłyśmy w stanie sięgnąć po nie, było nam kradzione. Jednak mama z cicią szybko zorientowały się i same zaczęły nas karmić. Powoli wracałyśmy do zdrowia. Co ciekawe, po wyjściu ze szpitala, straciłam zdolność posługiwania się językiem rosyjskim, zarówno w mowie jak i w piśmie.

Czasy, które nastały potem, nie były łatwe dla naszej rodziny. Bywały dni, gdy chodziliśmy spać z pustym żołądkiem. Pewni uzbecy starszankowie przez jakiś czas pomagali nam, dawali trochę zboża i śliwki, które nazywały się urug. Mama zalewała je mlekiem i powstawał pyszny, sycący posiłek.

Kiedy brakuje jedzenia człowiek ratuje się wszystkim, by tylko zabić uczucie głodu. W pamięci utkwiło mi pewne zdarzenie. Naszym uzbeckim sąsiadom zdechł osioł. Zakopano go nieopodal naszej lepianki. Po 3 dniach wujek odkopał go. To sprawiło, że mieliśmy zapas jedzenia na jakiś czas. Mama z cicią gotowała go przed domem na palenisku, nad którym znajdował się żeliwny duży kociołek. Pamiętam jak bardzo kuszący był widok tej wielkiej porcji mięsa. Radość nie trwała jednak długo. Po raz kolejny śmierć zajaśniała mi w oczy. Zjadłam serce osła, i to najprawdopodobniej spowodowało, że jako jedyna zatrulałam się. Znowu kilka dni leżałam nieprzytomna. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Problem głodu stawał się coraz poważniejszy, kurczyły się również pomysły na sposoby walki z nim. Mama była już naprawdę zdesperowana, bo nie jedliśmy od kilku dni i nic nie wskazywało na to, że sytuacja się poprawi. Razem z wujkiem postanowili udać się do delegatury, prosić o pomoc. Tam na miejscu podjęli jedną z trudniejszych decyzji w swoim życiu. Znaleźli w Bucharze dla mnie, Julka, Danki i Haliny miejsca w sierocińcu. Trafiliśmy tam dokładnie 27 maja 1942 roku. Znowu bolało mnie rozstanie z mamą. Jednak tym razem znosiłam je dużo łatwiej, bo miałam świadomość, że sytuacja jest tymczasowa i nie ma innego wyjścia - umieraliśmy z głodu. Wiedziałam, że mama oddała nas tu, by ratować nas przed śmiercią i byłam jej za to wdzięczna. Dziś mogę jedynie wyobrażać sobie, co ona musiała czuć, zostawiając swoje dzieci w obcych rękach.

W ochronce życie płynęło spokojnie. Wszystkie przebywające tam dzieci były pochodzenia polskiego i w podobnym wieku jak ja. Dni spędzaliśmy na nauce i zabawie. Zapamiętałam jedną z nich, dziś niejednemu może się wydawać niehumanitarna, ale w tamtych warunkach to pojęcie było raczej obce. Obserwowaliśmy zachowanie skorpionów. Chłopcy więzili skorpiony w okręgu ognia. Te stworzenia po chwili, widząc, że nie mają szans przeżycia wbijały sobie w głowę kolec z jadem znajdujący się na końcu ogona, popełniając w ten sposób samobójstwo.

Powoli wszystko zaczęło się układać pomyślnie. Mama i ciocia przez kolejnych kilka tygodni pracowały nadal w kołchozie, wujek natomiast otrzymał etat woźnego w delegaturze ambasady RP, aż któregoś dnia, nagle i niespodziewanie śmierć dotknęła dotąd nieugiętą naszą rodzinę. Na zawał serca zmarła ciocia Julia. Tu, na obcej ziemi, ze śmiercią obcowaliśmy na co dzień, do tego widoku byliśmy przyzwyczajeni, a jednak nikt z nas nie mógł się z tym pogodzić, dlatego teraz i w taki sposób.

Zaraz po tym mama otrzymała posadę jako opiekunka w sierocińcu. Cieszyłam się ogromnie, bo mogłam mieć mamę blisko siebie a i dla mamy było to bardzo ważne, bo miała na oku wszystkie dzieci z rodziny. Teraz to ona opiekowała się moimi kuzynkami, tak jak mną jeszcze niedawno ciocia Julia.

Podczas pobytu w Bucharze mama pisała wierszyki, które śpiewały dzieci w sierocińcu. Oto jeden z nich, który opisuje naszą codzienność.

### **„W dzikiej Azji”**

Tam w dzikiej Azji, pośród złych ludzi  
Coś tętni, bębni do życia gna  
To polska dziatwa ze snu się budzi  
To polska dziatwa tam dom swój ma.  
Wnet słyhać wrzaski nawoływania,  
Więc się już wszystkim odechciewa spania

Zaledwie dzionek błysnie na wschodzie

Pani Wszeszczoła z miotłami chodzi  
Robi porządki dookoła drogi,  
Aż jej skorpiony pogryzły nogi.

Na progu kuchni kucharka biada  
Że źle się czuje, że nic nie jada  
I prosi siostrę o jakieś proszki  
Może by jej tak pomogły troszkę

Lecz chociaż ją tak żołądek boli  
Nie może myśleć o swej niedoli  
Więc chwyta wiadra po mleko leci  
Z jednej "kibitki" do drugiej-trzeciej

A gdy już mleko jest przyniesione  
I pod kotłami już rozpalone,  
I gdy już dzieci zmówią pacierz  
Pani Kierownicza za chleb się bierze

Chociaż chleb kraje z uśmiechem słodkim,  
Lecz pod palcami ma już zagniotki .  
Lecz kiedy przyjdzie, Boże uchwaj,  
Na salę Pani Wereszczakowa  
Wnet wszystko zmiata na dwór w popłochu  
Bo jej się czegoś lękają trochu

Nauczycielka Pani Królowa  
To jest niewiasta bardzo morowa  
Wciąż jest wesółka, choć naga bosa  
Byleby miała na papierosa

Wieczór się zbliża, delegat jedzie  
Przed nimi sztafeta chłopców na przedzie  
Wszystkim meldują jego przybycie  
Aby jedzenia było obficie

Bo pan delegat na srogiej diecie-  
Marzy o sznyclu i kotlecie  
Lecz z braku sznycli, innych frykasów  
Korzystać musi z naszych zapasów  
Wiec czeka jajka i ogóreczka  
Świeże, zielone- no i te z beczi

A gdy już wreszcie cisza zalega

Wnet rozpaczliwy głos się rozlega  
Głos małej Ciapki:” wszystko przepadło  
Bo ktoś mi ukradł me przykrywadło”

Dziś te rymowanki przypominają mi o odległej przeszłości. Pozwalają przypomnieć sobie przeżyte radości wśród mroków codziennych trosk.

Na początku 1942 roku Stalin zdecydował o zmniejszeniu racji żywnościowych do niemalże głodowych i zaczął ograniczać zwolnienia polskich więźniów z łagrów. Wówczas gen. Anders, chcąc ratować ludzi, zdecydował o ewakuacji żołnierzy, cywilów i dzieci do Iranu.

Latem 1942 roku zdecydowano o przetransportowaniu również naszego sierocińca. Liczył on wówczas około 600 dzieci. Najpierw przewieziono nas do Krasnowodzka (obecnie Turkmenbaszy), miasta portowego. Przy wchodzeniu na statek mający przewieźć nas do Persji okazało się, że mamie skradziono dokumenty i przepustkę. Byłam przerażona, wiedziałam, że po raz kolejny mogę stracić mamę i być może już nigdy jej nie zobaczyć. Gdyby ją zatrzymano, ona bez wahania wsadziłaby nas na statek i kazała płynąć, bo wiedziała, że jest to nasza jedyna szansa przetrwania.

Powoli wchodziliśmy na ogromny wojskowy statek, wszystkie dzieci wchodziły parami, by łatwo można było je policzyć. Obok mnie był Julek, a za nami stała mama. Czułam jak serce wali mi coraz mocniej i mocniej, jak pocą się ręce, a ślina coraz ciężiej przechodzi przez gardło. Zamknęłam oczy przechodząc obok wojskowego, w oczekiwaniu na najgorsze. Po chwili, gdy ten człowiek oddalił się o co najmniej kilka metrów zauważyłam, że mama nadal jest z nami, że nikt jej nawet nie zapytał o to jak się nazywa i czy ma przepustkę. Cała nasza trójka odetchnęła z ulgą, zgodnie uznając całe to wydarzenie za kolejny cud.

Nas, dzieci, w porównaniu do ilości żołnierzy, było stosunkowo niewiele. Mówiono, że rejs ten był jednym z ostatnich rejsów, którym transportowano Polaków. Sama podróż była koszmarem. Panował nieznośny upał, wielu podróżnych cierpiało na chorobę morską. Nie pozwolono nam wymiotować za burtę a jedynie do specjalnych beczek. To było ohydne, ale nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko to przetrwać.

Z Turkmenbaszy przez Morze Kaspijskie dotarliśmy do Pahlevi (obecnie Bandar-e Anzali). Gdy już nieco się oswoiliśmy z panującymi warunkami, wujek zabrał Halinę i Danusię z sierocińca i zamieszkali gdzieś w obozie cywilnym. Natomiast ja, Julek i moja mama dalej pozostaliśmy z sierocińcem. W Pahlevi znajdowały się dwa obozy przejściowe. Jeden tak zwany brudny i drugi, w którym ludzie podlegali kwarantannie. To właśnie tutaj Danusia dostała biegunki i po kilku dniach zmarła w szpitalu. Umierała na rękach lekarzy. Po raz kolejny, w tak krótkim czasie, zostaliśmy tak boleśnie doświadczeni. Ciało Danusi

pochowano tam, w Pahlevi. Daleko od domu, od bliskich. Wtedy nic nie mogliśmy zrobić. Nie było innego wyjścia.

Obóz w Pahlevi był tymczasowy, mieliśmy tu przebywać zaledwie kilka miesięcy. Czterdziestoczerosobową grupą dzieci zajmowała się moja mama i jeszcze jedna pani. Traktowano nas tam bardzo dobrze. Jednakże umieralność wśród ludzi wciąż była zastraszająco duża. Powodem tego był między innymi sposób odżywiania się. Wycieńczeni, wygłodniali ludzie otrzymali od razu ogromne porcje tłustego jedzenia. Ich nieprzystosowane organizmy po prostu tego nie wytrzymały. I tu po raz kolejny mama wykazała się ogromną mądrością. Brała na dnię wiadra trochę gorącej pożywnej zupy i rozprowadzała ją gorącą wodą. Stopniowo zwiększała proporcje zupy w stosunku do wody, dzięki czemu nasze organizmy powoli przyzwyczajały się do normalnego jedzenia.

Dostawaliśmy też suchy prowiant w postaci chleba, czekolady, konserw. Bywało, że mieliśmy tych produktów nadmiar, więc mama zbierała to, co uważała za zbędne i wymieniała z Persami na owoce. Zawarte w nich witaminy były nam znacznie bardziej potrzebne niż na przykład czekolada. Dzięki bardzo mądrym działaniom mamy i drugiej pani opiekunki nikt z naszej grupy nie zachorował.

Po ponad miesięcznym pobycie w Pahlevi, zapakowano nas do autokarów i wyruszyliśmy w prawie 400 kilometrową podróż do Teheranu. Jechaliśmy krętą, górzystą drogą. Były momenty, kiedy patrząc przez okno widać było ogromną przepaść. Spadek w nią gwarantował śmierć. Spoglądając w dół dało się zauważyć, że pochowała ona setki ludzi. Utworzyło się tam niemal złomowisko. Kierowca jechał zdecydowanie za szybko jak na panujące warunki i w dodatku był pijany. Dorośli bardzo się denerwowali. Gdy zatrzymaliśmy się w hotelu na nocleg, mama poszła do kierownika całego transportu, aby porozmawiać z nim na temat zmiany kierowcy autokaru. Na to kierownik odpowiedział:

- Proszę Pani, ja nic z tym nie mogę zrobić.
- Jak to? - zapytała zszokowana mama - Przecież jest pan kierownikiem.
- Nic nie mogę zrobić, bo oni wszyscy są pijani – odparł mężczyzna - bo kto normalny, jechałby na trzeźwo tyle kilometrów taką drogą?

Mama odeszła bez słowa. W obliczu takiej sytuacji pozostało nam jedynie modlić się o bezpieczne dotarcie do celu. Teraz nawet mój brat wyjął różaniec (z prawdziwych koralik), który otrzymał od jednego z kierowców i modlił się w naszej intencji. Mniemam, że nasze modlitwy zostały wysłuchane, bo cali i zdrowi dotarliśmy na miejsce. Mojego wujka i Haliny nie było już z nami. Nasze drogi rozeszły się.

Był początek września, gdy przybyliśmy do obozu pod Teheranem. Osadzono nas w Obozie Cywilnym nr 3. Wokół Teheranu były jeszcze cztery inne obozy. Pamiętam, że piąty był obozem wojskowym. Oprócz naszego sierocińca był jeszcze jeden, prowadzony przez Hanke Ordonównę. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, kim była ta kobieta.



Do miasta mieliśmy około trzech kilometrów. Aby się tam dostać potrzebna była przepustka, którą otrzymywaliśmy bez problemu. Persowie byli przyjaźnie nastawieni do nas. Gdy widzieli, jak szliśmy w stronę Teheranu, zatrzymywali auta i chętnie nas podwozili.

Żyliśmy tam spokojnie i na ile można było dostatnio, a zaświadczyć o tym może treść kolejnego wierszyka napisanego przez moją mamę:

„Maszerują dzieci, maszerują, każdy  
uśmiechniętą buzie ma.  
Bo się w Teheranie dobrze czują.  
W nas też miłe życie - każdy zna.

My małe dziewczynki nabrałyśmy siły  
I zdrowe wrócimy do kraju,  
Szykować rączką do pracy na znój  
Bo Polska, bo Polska nas wołała -  
Więc pierwsze pójdziemy z rączkami na bój'

Na Niemca nas bierze ochota  
Nie mamy mundurów – fartuszek nasz strój  
Nie mamy ni srebra ni złota  
Lecz w pierwszym szeregu pójdziemy na bój  
Na Niemca nas bierze ochota.”

W obozie znajdowała się polowa kaplica. Był też polski ksiądz, co umożliwiło Polakom branie czynnego udziału w życiu religijnym. Dokładnie 18 października 1942 roku przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą. Tego dnia nie mogłam świętować jak inne dzieci, gdyż miałam anginę i zaraz po uroczystej mszy wróciłam do domu. Dlatego jedyną pamiątką z tej, jakże ważnej dla mnie uroczystości, jest pamiątkowa kartka z obrazkiem Matki Bożej i data, która się na niej zachowała. Ominęły mnie zdjęcia, których od tej pory miałam coraz więcej.

Na terenie obozu mieściła się również szkoła. Znajdowała się w szałasie i wyposażona była w kilkanaście ławek. Pisaliśmy tam rylcem, a lekcje, na przykład języka polskiego czy historii, polegały na tym, że pani czytał nam opowieści o Polsce. W ten sposób starano się nam przekazać namiastkę elementarnej wiedzy o Polsce. Dziś wiem, jak ogromną wartość miały te lekcje. Były wśród nas dzieci, które nie pamiętały Polskę, bo były zbyt małe, by móc ją pamiętać a okrutna rosyjska rzeczywistość, zabijająca w człowieku nadzieję, powodowała, że człowiek tracił wiarę, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Dlatego chłoniliśmy przekazywaną nam wiedzę, bo była ona dla nas czymś zupełnie nowym i prawie nierealnym.

Dopiero tu, w Teheranie, nasze nadzieje odżyły na nowo. W Obozie Cywilnym nr 3, w pobliżu Teheranu, zostaliśmy do lutego 1943 roku. Dokładnie 15 lutego wyruszyliśmy

w podróż do Karaczi, miasta leżącego wówczas w Indiach. Podróż trwała kilka dni, nie jestem w stanie dokładnie określić jak długo. W trakcie podróży na kilkanaście godzin zatrzymaliśmy się w Ahwazie, niedużym miasteczku, na południowym wschodzie Iranu. To właśnie tu byłam świadkiem przerażającego widoku, którego nie mogę wymazać ze swej pamięci. Razem z mamą postanowiliśmy zrobić zakupy. Idąc ulicami miasta mijaliśmy ludzi chorych na trąd, żebrzących i jęczących z bólu. Ich jęczące się rany paskudnie cuchnęły, a oni błagali nas o kawałek chleba. Widok był przerażający, nie sposób było przejść wobec ich cierpienia obojętnie. Pamiętam, że bałam się tych ludzi, a przecież widziałam już tak wiele w swym krótkim życiu. To, co mogliśmy, oddaliśmy im.

Tam także przeżyłam wspaniałe chwile. W mieście mama kupiła mi śliczne czerwono-granatowe pantofelki na pasek. Budziły zazdrość u niejednej dziewczynki. Były dla mnie tak wyjątkowe, że nosiłam je tylko na specjalne okazje.

Z Ahwaz dotarliśmy do miasta portowego, nie wiem jak się ono nazywało, a później już płynęliśmy statkiem do Karaczi.

Najpierw skierowano nas do obozu przejściowego, jak się domyślam, mógł to być obóz „Country Club”. Tam spotkaliśmy się z wujkiem Józefem i moją kuzynką Haliną. Cieszyłam się ogromnie z tego spotkania, bo znów miałam obok siebie swoją kochaną kuzynkę, jednak trwało to bardzo krótko. Z uwagi na panujący w Karaczi tłok przerzucono nas do Maliru. Dotarliśmy tam 2 marca 1943 roku. Kuzynkę i wujka, podobnie jak wielu naszych rodaków, skierowano gdzieś na wschodnie wybrzeże Afryki.

Malir był obozem oddalonym o około 7 kilometrów od poprzedniego. Tutaj również była urządzona szkoła, niemal identycznie jak w Teheranie. Ja, mama i Julek mieszkaliśmy w maleńkim pokoiku. Nie miało to jednak dla nas żadnego znaczenia, cieszyliśmy się, że jesteśmy zdrowi i przede wszystkim razem. Mieszkała z nami również pewna krawcowa, która szyla dla ludzi z całego obozu.

Kiedy byliśmy w Rosji, dokuczał nam ogromny mróz, którego dotąd nie znaleźmy i wszyscy marzyli o ciepłe i słońcu, natomiast tu, w Malir, warunki klimatyczne były zupełnie odmienne. W dzień było tak gorąco, że gdy nie chodziliśmy do szkoły, to większość dzieci, szczególnie małych, spała. Ja nie mogłam odpoczywać. Miałam swoje obowiązki - całymi dniami prałam. Upał stawał się nieznośny do granic wytrzymałości. Człowiek tak bardzo się pocił, że nie było możliwości spania dwie noce pod tą samą, nie wypraną pościelą. Dlatego niemal każdego ranka zdejmowałam pościel, niosłam ją do obozowej pralni, która składała się z zadaszenia zrobionego z egzotycznych liści, stojących pod nim kilku drewnianych korytek przypominających balię i sterczących z nich tar. Oczywiście środkiem piorącym było mydło.

Tu już nie dokuczały nam wszy, ale innego robactwa nie brakowało. Dlatego nad naszymi łózkami rozciągały się moskitiery, które miały nas chronić przed ich ukąszeniami. Wychodzenie wieczorem na zewnątrz bez lampy i kija groziło z kolei pokąsaniem przez

źmije, które tu nie należały do rzadkości. Pamiętam, że komuś z naszego pokoju, mamie czy pani krawcowej, zdarzyła się bardzo groźna sytuacja. Gdy rano obudziła się na moskitierze zobaczyła wielkiego, obślizgłego węża. Udało się go usunąć, ale taki poranne przeżycia zapewniały zapas adrenaliny na cały dzień. Zachowała mi się w pamięci jeszcze jedna historia. Jedna z pań opiekunek miała imieniny. W związku z tym wszyscy zastanawiali się, co można jej kupić. Coś, co będzie nietypowe, ale jednocześnie będzie sprawiało przyjemność. Wiadome było, że lubi zwierzęta. To znacznie zawężyło krąg naszych poszukiwań. Mój brat Julek został wtajemniczony w nasz plan i wysłany do miasta. Tam na targu kupił małą, zabawną małpkę. Gdy ją przyniósł siedziała mu na ramieniu, i to chyba od dłuższego czasu, bo szczególnie upodobała sobie do zabawy jego ucho, które było już mocno zakrwawione. Jubilatka, była zachwycona prezentem, a ja odwiedzając jej siostrzenicę mogłam bawić się z uroczą małpką. Lubiliśmy wspólne jedzenie mleka skondensowanego. Wtedy ścigałyśmy się z nią, kto zje więcej. Małpka spełniała też funkcje depilatora. Jej właścicielka miała bardzo owłosione nogi, a po tygodniowej obecności zwierzątka w domu sympatyczna pani nie miała ani jednego włoska. Małpka stała się jedną z naszych obozowych atrakcji.

Wielkim przeżyciem dla mnie była pierwsza wizyta u dentysty - Hindusa. Kiedyś jeździliśmy do miasta do dentysty, później za bycie dzielnym pacjentem, na koszt przychodni zabierano nas na przepyszne lody albo ciastka. Jednak nie zawsze było tak wesoło. W naszym obozie pracowała pewna Hinduska, zajmowała się sprzątaniami. Była kobietą o niezwyklej urodzie. Miała piękne, długie czarne włosy, oliwkową cerę i ciemną oprawę oczu. Często się do nas uśmiechała, ale nigdy nic nie mówiła. Hindusi byli chorobliwie zazdrośni o swoje żony, szczególnie, gdy były tak piękne jak ta kobieta. Jej mąż, przekonany, że jego żona zdradza go, w napadzie szału zamordował ją. Mama później opowiadała, że takie sytuacje tu, w Indiach, zdarzały się bardzo często.

Obóz Malir w Karaczi opuściliśmy dnia 8 września 1943 roku. Byłam zbyt młoda, żeby przykładać uwagę do dat, jednak odtworzenie ich jest możliwe dzięki skrupulatności mojej mamy. Dbała o to, by wszystko było zapisane, by w naszej rodzinie pamiętano o tym, co się wydarzyło.

Po raz kolejny musieliśmy się przenieść i zmienić miejsce zamieszkania. Poniekąd byliśmy już przyzwyczajeni do losu tułaczy, do tego, że nie mamy stałego dachu nad głową. Nigdy jednak nie zapominaliśmy, kim jesteśmy, nigdy nie pozwoliliśmy sobie na zatracenie swojej tożsamości. Bo kim jest człowiek, który jej nie ma? Nikim.

Statkiem zabrano nas do Bombaju. Tam od razu przesiadliśmy się na wojskowy statek „Batory” i wyruszyliśmy w odległą podróż do Meksyku. Pomyślałam, że to może być interesujące. Ciekawa byłam tajemnic, jakie mógł kryć tak odległy i egzotyczny kraj jak Meksyk. Nie licząc naszego sierocińca, na statku było jeszcze około dwustu innych cywilów. Reszta pasażerów to żołnierze i załoga.

Na statku panował niemiłosierny upał. Panująca wewnątrz duchota doprowadzała niejedno dziecko do wymiotów. Na nasze szczęście ocean był spokojny. Dzięki temu większość czasu mogliśmy spędzać na pokładzie, gdzie morska bryza i wilgotne powietrze łagodziło nieco żar lejący się z nieba.

Z uśmiechem na twarzy wspominam marynarzy, którzy tak czułą opieką objęli dzieci. Pokochali nas i taktowali jak członków rodziny. Być może działa się tak, bo sami byli oddaleni od swoich bliskich. Podczas upalnych nocy z troską okrywali nas kocami. Wspólnie jadalśmy posiłki. Jeden z członków załogi, który miał pieczę nad stołem, przy którym jadalśmy posiłki, zauważył, że uwielbiamy kiszzone ogórki i lody. Od tamtej pory, aż do końca podróży nasze przysmaki zawsze pojawiały się na stole. Zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że zaprzyjaźniliśmy się ze sporą częścią marynarzy. W wolnych chwilach oprowadzali nas po niektórych częściach statku, oczywiście po tych, w których nic nie zagrażało naszemu zdrowiu, ani nie zakłócało pracy. Jakimś sposobem wkupiłam się w szczególne łaski załogi, dzięki czemu jako jedyna z całego sierocińca otrzymałam od samego kapitana świadectwo przekroczenia równika. Na równoleżniku 0 staliśmy około doby. Stało się tak, bo trwała II wojna światowa. Jak wiadomo szczególnie zacięte walki między Japonią a Stanami Zjednoczonymi miały miejsce na linii, na której akurat się znaleźliśmy. Nasz statek konwojowało kilka okrętów bojowych, które od czasu do czasu atakowały japońskie łodzie podwodne, stanowiące dla nas zagrożenie.

Po 4 tygodniach żeglugi - 2 października - zatrzymaliśmy się na krótki, trwający około doby postój w Australii. Uzupełniono zapasy wody pitnej, żywności i paliwa. Nie schodziliśmy na ląd. Ze względu na wojnę ominęliśmy też Nową Zelandię. Obraliśmy drogę obok wyspy Polinezji Francuskiej - Bora Bora. Statek zatrzymał się nieopodal wyspy, tak iż tubylcy podpływali do nas małymi łódkami proponując nam handel wymienny. Mieli do sprzedania egzotyczne owoce i różne swoje wynalazki. Jednak nie było zbyt wielu kupujących, więc mieszkańcy odpłynęli zawiedzeni.

W połowie października dotarliśmy do wybrzeża kalifornijskiego. Osadzono nas w kolejnym obozie. Mieszkaliśmy w wojskowych barakach. Tam również mieliśmy pod dostatkiem jedzenia, soków, wody, napojów, słodczy, owoców. Muszę powiedzieć, że dla nas, dzieci z sierocińca, które przeżyły głód, to było coś wyjątkowego.

Po dwutygodniowym pobycie przewieziono nas pociągiem do Meksyku. Byliśmy drugim i ostatnim transportem Polaków, który trafił do Meksyku. Sześć innych transportów przewieziono do Afryki wschodniej. W jednym z nich był mój wuj Józef Przybojewski z córką Halinką.

Zakwaterowano nas w starym, meksykańskim majątku Santa Rosa, nieopodal miasta Leon. Na środku osiedla stał wielki młyn, co ponoć było typowe dla większości lokalnych posiadłości. Sierociniec umieszczono w dużym budynku, obok którego stały baraki, w których zamieszkały wychowawczynie z rodzinami. Cieszyłam się, że tu jesteśmy. Mieliśmy wszystko, co było nam niezbędne, a nawet więcej. Mieliśmy czyste łóżka, bez

pluskiew i karaluchów, biały chleb, codziennie mięso, owoce. Byliśmy schludnie ubrani. Nikt nie zmuszał nas do niewolniczej pracy, cieszyliśmy się względną swobodą.

Były jednak wśród nas osoby rozczarowane pobytom w Meksyku. Rozczarowanie wynikało z kilku powodów. Spora część uchodźców liczyła na to, że osiedle będzie całkowicie otwarte, że będzie tak jak w Persji, gdzie można było swobodnie pracować i uczciwie zarabiać na siebie i swoją rodzinę. Jeszcze inni liczyli, że zaraz po przybyciu do Meksyku dotrą do krainy mlekiem i miodem płynącej - Stanów Zjednoczonych, gdzie jak głósili niektórzy - dolary leżą na ulicy. Najtrudniej było jednak tym uchodźcom, którzy w Stanach Zjednoczonych mieli swoich krewnych (przybyli oni tu jeszcze przed II wojną światową), a teraz nie dane było im się spotkać. Dziś myślę, że ludzie nie potrafili docenić łaskawości losu, skupiając się jedynie na swoich wygórowanych ambicjach i zbyt rozwiniętych pragnieniach. Mniemając, że to, co mają, jest oczywiste i należy im się, zapominali o tych udrętkach, które skończyły się tak niedawno.

Tu wszystko było bardzo dobrze zorganizowane. Przykładem mogło być chociażby biuro opieki społecznej, gdzie uprzejmy personel w osobie pań Pauliny Kozioł i Karoliny Sławińskiej, rozdzielał prace stosownie do wieku, sił i umiejętności. Przydzielał według potrzeb ubrania, obuwie, odwiedzał chorych, by zapoznać się z ich poza szpitalnymi potrzebami. Mieszkańcy osiedla Santa Rosa mogli korzystać z zasiłków. Przysługiwały one bezrobotnym, chorym i dzieciom. Dorośli otrzymywali zasiłek w wysokości 10 peso, a dzieci 4 peso.

Na terenie naszego osiedla zorganizowana była szkoła podstawowa, gimnazjum oraz liceum, z czasem powstał osiedlowy teatr, świetlica oraz tereny rekreacyjno-sportowe. Szkoła znajdowała się we wcześniej wspomnianym starym młynie. Bywało tak, że niekiedy brakowało sal lekcyjnych, więc uczyliśmy się w szkole nazywanej żartobliwie „pod drzewem”. Jedną z opiekujących się nami organizacji nadeszła zeszyty, pióra, ołówki i podręczniki. Zanim to jednak nastąpiło używaliśmy ryłców i tabliczek, a nauczyciele prowadzili lekcje korzystając jedynie ze swej wiedzy. Z perspektywy czasu widzę, że było to karkołomne zadanie, co wzbudza we mnie jeszcze większy podziw w stosunku do tych ludzi. Program nauczania wzorowany był na obowiązującym w Polsce, tak aby po ewentualnym powrocie do kraju, dzieci i młodzież bez problemu mogły kontynuować naukę. Wzbogacono go jedynie o naukę języków angielskiego i hiszpańskiego.

W Santa Rosa rozpoczęłam naukę w gimnazjum. Dyrektorem szkoły był niezwykle człowiek - ksiądz Józef Jarzębowski. Znał nas wszystkich i traktował jak własne dzieci. Był naszym opiekunem i przyjacielem. To z nim mogliśmy się podzielić dręczącymi nas problemami z nadzieją, że będzie potrafił je rozwiązać. W pamięć zapadła mi również pani Zofia Orłowska, która uczyła nas języka polskiego. Lekcje prowadziła tak żywo, że nie sposób było się na nich nudzić i nie pamiętać tego, o czym uczyła. Ksiądz Jarzębowski dbał o to, byśmy pamiętali o naszej ojczyźnie, o tym, że jesteśmy Polakami. Chciał, abyśmy po powrocie do kraju mieli podstawową wiedzę na jego temat. Stworzył klub, w ramach

którego spotykaliśmy się wieczorami i czytaliśmy narodowe dzieła takie jak: „Lalka”, „Pan Tadeusz” oraz „Trylogia” Henryka Sienkiewicza.

Czas płynął bardzo szybko. Zdobywałam wiedzę, poznawałam nowych ludzi, zwiedzałam okolicę. 29 kwietnia 1944 r zakończył się pierwszy rok mojej nauki w gimnazjum w Meksyku. Z tej okazji zorganizowany został uroczysty apel, podczas którego odśpiewaliśmy chóralnie pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”, hymn polski i meksykański, a potem wszyscy razem udaliśmy się do kościoła na nabożeństwo. Kolejny rok nauki miał rozpocząć się 15 czerwca.

Dla moich koleżanek w wieku od 7 do 8 lat wielkim przeżyciem duchowym było przystąpienie do Pierwszej Komunii Świętej. Siostry Felicjanki z Chicago zatroszczyły się o białe ubranka. Po uroczystym nabożeństwie wszyscy spotkali się na wspólnym śniadaniu, również przygotowanym przez siostry.

Chcąc jechać do miasta nie potrzebowaliśmy żadnych przepustek. Było to dla nas nowością i oczywiście wielkim komfortem. Do miasta autobus kursował około trzech razy dziennie i raz dziennie tramwaj konny, więc można powiedzieć, że infrastruktura była dość rozwinięta.

W gorące dni razem z przyjaciółkami chodziłyśmy kąpać się w jeziorze. Po drodze dołączali do nas meksykańscy rówieśnicy. Było bardzo wesoło, bo to bardzo pogodni ludzie. Lubili się bawić i śpiewać przede wszystkim romantyczne piosenki. Często przypominam sobie ich uśmiechnięte, opalone twarze.

Ze szczególnym sentymentem wspominam udział w harcerstwie. 23 sierpnia 1943 roku pod komendą księdza Zygmunta Jagielnickiego został zorganizowany hufiec harcerski zatwierdzony rozkazem harcmistrza Skłodkowskiego. Dzięki inicjatywie płk Jana Skorony w kwietniu 1945 roku doszło do wymiany sztandarów polskich harcerzy i skautów meksykańskich jako symbolu braterstwa obu narodów.

Istniały 2 drużyny: męska i żeńska. Latem na niewielkiej polanie niedaleko osiedla organizowaliśmy obóz harcerski. Nie był duży, składał się zaledwie z 5 namiotów. Wieczorami na koniach przyjeżdżali do nas Meksykanie, mieli ze sobą gitary i do późna śpiewaliśmy przy ognisku swoje ulubione melodie. Te chwile dawały nam dużo szczęścia i radości, pozwalały szybciej zapomnieć o bolesnych doświadczeniach przywiezionych z Rosji. Były rozrywką, której potrzebują młodzi niezależnie od czasów, w których żyją.

Jako harcerka bardzo przeżywałam wizytę w naszej kolonii prezydenta Meksyku - generała Manuela Avila Camacho. Wizyta była zapowiedziana, więc w szczególny sposób do niej się przygotowaliśmy. Nie poinformowano nas o dokładnej godzinie jego przybycia, dlatego od wczesnych godzin rannych osiedle przybrało uroczysty i odświętny wygląd. Mieliśmy świadomość, że będziemy gościć szczególną osobę, człowieka, który udzielił gościny polskim tułaczom. Dlatego staraliśmy się przynajmniej w ten sposób

wyrazić swoją wdzięczność. Bramę wjazdową do osiedla, która przypominała łuk triumfalny udekorowaliśmy meksykańskimi i polskimi barwami. Nad bramą widniał napis „Bienvenido”, odpowiadający polskiemu „witaj”. Na masztach zawisły sztandary oraz flagi Polski i Meksyku.

To nam, harcerzom, przypadło w udziale powitać prezydenta. Nasza postawa i elegancki wygląd nie uszły uwadze prezydenta i jego świty. Podziwiano też grupę dziewcząt ubraną w narodowe stroje. Prezydent poprosił także o pamiątkowe zdjęcie, na którym ja również się znalazłam.

Nie był to jedyny moment, który budził jego zaskoczenie. Jeszcze większym, było powitanie go polskim zwyczajem, chlebem i solą oraz wręczenie biało-czerwonego bukietu kwiatów. Podczas wizyty prezydent zadeklarował pomoc wszystkim, którzy chcą opuścić Meksyk, jak również tym, którzy będą chcieli tu pozostać. Niewielu tu jednak takich było. Większość, tak jak my, tęskniła do kraju, do swoich rodzin.

Dzięki naszym rodzinom i nauczycielom, tu na obczyźnie pamiętaliśmy o naszych rodakach, tych cierpiących w kraju i tych tułającym się po świecie. Tu, na obcej ziemi, chcąc upamiętnić ich zmagania, cierpienia oraz poniesioną za wolność śmierć, ufundowana została pamiątkowa tablica. Staraliśmy się także obchodzić uroczystości upamiętniające ważne wydarzenia związane z historią Polski. W naszej szkole mieściła się izba pamięci, sala, w której znajdowała się wystawa pamiątek pochodzących z Polski. Jednym z cenniejszych eksponatów była szabla polska pochodząca z XVIII wieku. Na szabli widniał napis „Wiwat wolność. Polska. Konstytucja Dzień 3 maja 1791”. Gromadziliśmy tu także nasze prace ręczne: obrus, serwety wykonane w naszych ludowych haftach. O wydarzeniach ze świata, Polski i lokalnych dowiadywaliśmy się z naszego czasopisma „Polak w Meksyku”.

Wiosną 1946 roku zaczęto mówić o likwidacji obozu. Pogłoski pojawiały się coraz częściej i stawały się coraz bardziej realne. Mama wysłała kilkanaście listów do różnych instytucji w całej Polsce, z informacją o naszej sytuacji i wskazała miejsce naszego pobytu. Robiła to z nadzieją, że wiadomości te dotrą do taty, chociaż my nie mieliśmy żadnych informacji o jego losie od momentu naszej deportacji w 1940 roku. Mama była silną kobietą i nigdy tego nie okazywała, ale doskonale wiem, że cierpiała i tęskniła. Zresztą, która kobieta, oderwana od męża, z dnia na dzień pozbawiona jego opieki, nie czułaby się samotna i porzucona? Chyba nie ma takiej. Czekaliśmy na upragnioną wiadomość, ale ta nie przychodziła.

Traciliśmy nadzieję, a ostatnią z nich było przekazanie informacji przez jednego z członków naszej delegatury, który jako jeden z pierwszych miał dotrzeć do Polski. Namówiłam mamę, by spróbowała ten ostatni raz, chociaż sama nie wierzyłam w powodzenie, ale tak bardzo marzyłam o spotkaniu z ojcem. Chciałam już widzieć moją mamę szczęśliwą i nas wszystkich razem. Chciałam móc przytulić się do mych kochanych rodziców, na razie jednak pozostawało mi jedynie miękkie futerko mojej kotki - Burki. Była

do mnie niezwykle przywiązana. Gdy miałam jechać do miasta, do kina czy iść na randkę, wyczuwała to i czaiła się przy drzwiach, by czmychnąć i pobiec za mną. Burka imponowała swoją mądrością i bystrością. Często z bratem kłóciliśmy się, z kim ma spać, wtedy ona zawsze wędrowała do łóżka mamy i problem rozwiązywał się sam. Jej wyjątkowość polegała również na tym, że lubiła się myć. I tu nasunęła mi się taka refleksja, w Meksyku myliśmy kota, a w łazience brakowało wody dla nas, dla ludzi.

Problemy nie ominęły nas także w Meksyku, ale tu dużo łatwiej radziliśmy sobie z nimi. 1 lipca 1946 roku przeszłam operację wycięcia wyrostka robaczkowego. Bardzo się denerwowałam, ale wszystko zakończyło się pomyślnie. Najśmieszniejsze, że pod drzwiami szpitalnej sali czuwała moja czarno-biała kotka Burka.

Niedługo po tym otrzymaliśmy list z Polski. Nie sposób sobie wyobrazić naszej radości, gdy okazało się, że jego nadawcą jest Kazimierz Wojtkowski, mój tata. Właściwie już na jego wstępie zapytał o moje zdrowie, bo śniło mu się, że miałam operację i poproszono go o pomoc. I jak tu nie wierzyć w sny? Pisał o sobie, o tym, że szukał nas i czeka na nas, o tym, że aktualnie jest w Warszawie, ale wkrótce przeprowadza się do Kozłowa, w okolicy Krakowa. Kazał nam wracać jak najprędzej, bo bardzo tęskni. Od tej pory rodzice mieli stały kontakt listowy, a my odliczaliśmy dni do naszego wyjazdu z Meksyku.

Najbliższy transport do Polski planowany był na połowę października. Najpierw musieliśmy dostać się do Nowego Jorku, skąd miał wypływać statek do Polski. Santa Rosa opuszczała około 40-osobowa grupa. Po dotarciu do Nowego Jorku, z tarasu widokowego budynku, w którym nas umieszczono, oglądaliśmy Statuę Wolności i zapierającą dech w piersiach panoramę ogromnego miasta. Dopiero po trzech tygodniach opuściliśmy Stany Zjednoczone. Co wtedy czułam? Trudno powiedzieć. Z jednej strony przepełniała mnie ogromna radość, że spotkam się z ojcem, że zamieszkam w swoim własnym, nowym domu z całą rodziną. Cieszyłam się, bo wiedziałam, że w końcu cały ten ciężar trosk, zmartwień i kłopotów spadnie z obolałych, wychudłych i spracowanych ramion mamy. Natomiast z drugiej strony było mi smutno opuszczać Santa Rosa. Zostawiałam tu tysiące słodkich chwil, pełnych radości i uśmiechów. Chociaż tam raczej nigdy nie czulibyśmy się jak u siebie.

Podróż była dość niespokojna, szczególnie na Bałtyku. To nieujarzmione, gniewne morze dało nam się we znaki. Po 6 tygodniach męczącej żeglugi statek wpłynął do portu w Gdańsku. 28 listopada 1946 roku dotarliśmy do Polski, gdzie czekał na nas tata. Eksplozja radości, okraszona łzami wzruszenia - tylko w ten sposób można opisać to, co się wtedy z nami działo. Byliśmy tacy szczęśliwi...

Co by się z nami stało, gdybyśmy nie dostali informacji, że tata żyje? Mama często nad tym się zastanawiała. Była świadoma tego, że tam, w Polsce, może już nikogo z naszych bliskich nie ma i już nikt na nas nie czeka. Gdyby podjęła decyzję o pozostaniu, to najprawdopodobniej z kolonii Santa Rosa udalibyśmy się do Chicago, gdzie swój nowy



dom znalazło wielu Polaków. Rodzina państwa Kijków, zaprzyjaźniona z nami, zanim dowiedzieliśmy się o tacie, namawiała nas do wyjazdu tam. Jednak tęsknota i wiara były silniejsze.

### **Zakończenie**

Po powrocie do Polski zamieszkaliśmy w Kozłowie pod Krakowem. Tam ukończyłam gimnazjum, szkołę średnią. Później podjęłam naukę w szkole pielęgniarskiej. Mój brat Julian poszedł w ślady taty i po ukończeniu Akademii Medycznej w Warszawie został lekarzem. Mama wyczerpana trudami życia i zsyłki zmarła w 1969 roku w wieku 66 lat. W 1954 roku wyszłam za mąż za Jana Witkowskiego. Najpierw zamieszkaliśmy w Sokółce, a później przeprowadziliśmy się do Siedlec.

Na tych kilku kartkach opowiedziałam całą historię moich nieszczęsnych wojaży. Miałam dużo szczęścia, bo przeżyłam. Nie wszystkim było to jednak dane. Wiele osób, które spotkałam podczas tej podróży, dziś już nie ma. Prawo do życia odebrał im głód, zimno, ale przede wszystkim ludzie, ślepo słuchający rozkazów. Ciężko zrozumieć dramat, który przechodzili deportowani do łagrów, w tym ja i moja rodzina. Dziś wszystko wygląda inaczej, a najtrudniej mówi się o krzywdzie, którą człowiek wyrządza drugiemu.

### **Summary**

„A Journey against the Will” is a narrative of a cruel experience which eight-year-old Halina Witkowska had to go through when she was deported to a Siberian forced labor camp together with her mother and brother. She was in the USSR from 1939 to 1942, from where she then got to Teheran travelling along General Władysław Anders’ Trail, and later – through India to Mexico. She returned to Poland in 1946. Now Mrs Witkowska lives in Siedlce.

**Keywords:** memories, USSR, World War II, Siberia, peregrination